

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 16 Maja 1914 roku

No 20.

Andrzej Strug.

## „Pieniądz”

Wszelkie prawa autorskie i wydawców zastrzeżone.

19

Powieść z obcego życia.

Wyszedłszy z hotelu, odetchnął z ulgą.

— No, szarpnąłem się dzisiaj. To już po raz ostatni. Teraz go nie wypuszcze, dopóki się nie spije absolutnie. Poprosto będzie go się odwoziło do domu, jak bałwana. Goń się tu z błaznem po ulicy...

Kupił dziennik poranny i wszedł do Café de la Paix, którą przed chwilą otwarto. Wsunął się do swojego kąta i z rozkoszą wypił łyk swego niezmiernie skomplikowanego dekoktu, który przed nim bez pytania postawił niezupełnie jeszcze rozbudzony garçon.

— Masz co nowego, Gaston?

— Nic nowego. Było tu wczoraj dwóch, ale to afera nie dla pana. Oddałem ich tym z niebieskiej salki. Jakaś biedota, niemcy, mają tam przy duszy po parę tysięcy i myślą, że świat zadziwią. A pilnuj się, pan — stara z rue de Berne jest śledzona.

— To mnie już nie obchodzi.

— Warto by ją jednak poratować; kobieta porządna.

— Porządna ona jest, ale dopóki mi nie odda moich dwóch tysięcy, palcem nie ruszę. Niech ją biorą!

— Opuść pan co. Stara jest w kłopotach.

— Wiesz, Gaston, że w interesach jestem twardy.

— Wiem i pochwalam to. Ale ona mi dała tylko tysiąc dwieście.

— Dawaj. Na resztę zaczekam do piątej. Punkt o piątej tu będę. I albo pójdę zaraz ją uwolnić, albo niech ją dyabli biorą. Chce jej się sadu?

— Licz pan, że z rozpaczy stara może sypać.

— Kpię sobie z tego. Nic mi nie będzie. A na załagodzenie pieniądze są?

— Mam przy sobie.

— Trzy tysiące?

— Trzy.

— A zatem, cztery tysiące dwieście. Dawaj!

Schowawszy banknoty, Dambriers napisał kilka pneumatyk. Podczas pisania poglądał nieznacznie z pod oka na starego jegomościa, siedzącego w przeciwległym kącie sali i wertującego kolosalny foliak księgi adresowej Paryża.

— On. Stary, zupełnie przerobiony... Ale on. Boże — ileż to lat...

Barona ogarnęło wzruszenie. Z przemęczenia, z niewyspania — po wypiciu ostrej mieszaniny... Wydobyło się skądś uczucie czysto ludzkie, młodzieńcze. Nieprzeparta była jego pokusa. Zupełnie odruchowy, nierozumujący był jego poryw. Baron nie mógł usiedzieć na miejscu. Już miał wstawać, kiedy na domaganie się tamtego, chłopiec usługujący zapalił światło nad jego stolikiem. W kawiarni było jeszcze dość ciemnawo.

Tak jest, w rozwidnionym kącie siedział, pochylony nad Bottin'em, druh jego młodości, ukochany kolega, sam we własnej osobie, starszy o lat dwadzieścia pięć, van Dooren, jedyny holender, który wart był urodzić się francuzem...

Przewinęły się w mgnieniu oka ulica, gdzie mieszkali razem przez trzy lata, ich zapamiętałe spory i marzenia, ich kochanki, któremi się mięli i dzielili, ich młodzieńcze plany na podbój świata...

Jak się tamtemu udało? Czego dokonał przez te lata?

— Zupełnie mnie nie poznajesz?

— Pan wybacz...

— No — zgadnij. Kolega z Sorbony... Kopa lat... Mieszkaliśmy na Estrapade... Ernestynki nawet nie pamiętasz?... Dambriers... ubogi baron... Ubogi, ale za to prawdziwy... To ja!

— Oczywiście, jakieś nieporozumienie...

— Oczywiście. Ale przecież się porozumiemy.

I Dambriers usiadł naprzeciwko przyjaciela, nie zrażony jego zdumieniem. Wiedział, że kolega już go poznał, ale widać miał jakieś swoje przyczyny, żeby udawać co innego. W pokoju było zupełnie pusto, ale baron zaczął mówić głosem przyciszonym:

— Dajno spokój van... Dobrze już, dobrze. Rozumiem. Pomyliłem się w nazwisku. Mnie wszystko jedno! Chcę pogadać o tem, co było dawniej... Dajże łape... Tyle, tyle lat...

Przyjaciele uścisnęli się mocno.

Dérjac ojciec również wzruszył się bardzo, niespodziewanie dla siebie samego. Skąd się wziął ten człowiek i te zapomniane ze szczętem głupie uczucia?... Przez moment jeszcze był zły na siebie, że nie wytrwał i nie zaparł się wszystkiego w żywe oczy. Ale porwał go wrażliwość. Wpatrzył się w wesołe, zawsze lekkomyślne oczy przyjaciela i ostry smutek ścisnął go za serce. Gdzież się podział piękny chłopak?

Rasowa twarz barona była zdrewniona i wytarta. Ruchliwa, jak oblicze aktora, zdawała się umieć udawać wszystko na żądanie. Ten człowiek nie był zdolny już niczego odczuwać, niczego uszanować. A jednak jest wzruszony, albo też udaje, ale kapitalnie.

Dérjac postanowił być strasznie ostrożnym. Wpadł — ale trudno. Każdemu przytrafi się chwila lekkomyślności.

Obaj starzy wpatrywali się w siebie w milczeniu. Obadwaj starali się odgadnąć nawzajem swoje losy. Każdy chciał ukryć się przed przyjacielem. Każdy w głębi siebie wstydział się. Ale nad wszystkim przeważała ciekawość.

Gadali o dawnych czasach, przypominali sobie coraz coś nowego, pomagali sobie nawzajem. Już rozległ się raz i drugi zdrowy, szczerzy, młody śmiech. Posypały się dawne ane-

gdoty i kawały. Powrócili z zamary-  
łych czasów i obejrzały się ku nim  
strach przed egzaminami, rozpacz  
po zdradzie kochanki, wieczne kłopoty  
pieniężne.

Ale po paru minutach ożywionej  
i bezładnej pierwszej gadaniny, wró-  
cili do terażniejszości. Znowu sie-  
dzeli przed sobą obaj starzy w Café  
de la Paix w mroczny ranek zimowy.

— No, a teraz — masz na obiad?

— Jakoś tam człowiek żyje...

— Pamiętasz? Roili nam się  
miliony. Boś to raz gadał: „muszę,  
wszystko mi tam jedno...”

— Eh, do dyabła — i teraz po-  
wiem to samo.

— I ja. Ja się nie skarzę. Ale  
życie niespokojne, psie. Zresztą, po-  
lubilem to.

— Dużo masz?

— Sporo. Jak chcesz, mogę ci  
pożyczyć parę tysięcy, po staremu,  
na słowo, choćby zaraz. Jak ja cię  
straszenie lubilem!

— Bóg zapłać. Nie potrzebuję.  
Wiesz — powiem szczerze. Myślę  
sobie, co też ty robisz na świecie...

— No i co?

— Prawie, że wiem. Czytam ci  
na gbie. Zawsze był z ciebie łobu-  
zina.

— Prawda. Powiem szczerze:  
niejeden mnie ma za ostatnią kana-  
lię. Ale ja mam własną filozofię.  
Pracuję na życie, jak wszyscy. A ty,  
jak zawsze, trzymasz się solidnie.  
Milion już masz?

— Co teraz znaczy milion...

— No, to już dobrze. Ciągnie  
od ciebie grubym grosiwem. Z pe-  
wnością robisz w finansach, zban-  
krutowałeś z parę razy, a zawsze so-  
lidnie.

— Mniejsza o to.

— Naturalnie! A gdzie siedzisz  
stałe?

— Nigdzie.

— Że też ja cię ani razu nie spo-  
tkałem? Tutaj, gdzie się wszyscy  
spotykają, czy chcą, czy nie chcą.  
Niepodobna, żebyś w Paryżu nie by-  
wał?

— O, bywałem. Ale nie lubię  
kawiarni, bulwarów, teatrów i innych  
waszych dziur.

— Więc, co masz tu innego do  
roboty?

Dérjac uśmiechnął się, jakby do  
siebie samego. Baron spojrział mu  
głęboko w oczy. Kolega odpowied-  
ział mu spojrzeniem pełnym powa-  
gi.

Na długą chwilę sprzęgli się o-  
czyma, które dużo widziały i umiały  
wydobywać na jaw prawdę człowieka.  
Związali się, jak zapaśnicy, i w  
wysiłku sięgali sobie nawzajem do  
głębi dusz. Nie dowiedział się baron,  
że van Dooren jest głową potężnej,  
międzynarodowej organizacji do  
wielkich kradzieży. Nie domy-  
ślił się Dérjac tego, że przyjaciel jest  
naganiaczem, pośrednikiem i do-  
stawcą bogaczy, którzy ciekawi są  
najtajniejszych osobliwości Paryża,

opiekunem i nauczycielem młodzie-  
ży, chorej na nadmiar pieniędzy.

Ale poznali obaj, że są gotowi  
na wszystko, że dowiedli tego i so-  
bie, i światu po sto razy w ciągu  
tych lat rozstania. Nie zdradzili ni-  
czem swoich tajemnic, ale przestali  
się ich wstydić przed sobą. Uwie-  
rzyli, że ich przyjaźń może trwać,  
pożalował każdy, że los ich znowu  
oddali i kto wie, czy się jeszcze kie-  
dy spotkają. Chcieli powiedzieć so-  
bie wiele. Trudna do zwalczenia by-  
ła pokusa, żeby ulżyć duszy, dać so-  
bie pełną radość szczerego, ludzkie-  
go momentu, jaki już może nigdy nie  
powtórzy się w ich chytrem, wil-  
czym życiu. Ale gdy po długim mil-  
czeniu zaczęli mówić, mówili o rze-  
czach obojętnych...

— Szperasz, widzę, Bottin Mon-  
dain... Znajdziesz tu ulicę i numer,  
ale jak chcesz o nich wiedzieć coś  
naprawdę, spytał się mnie. Wiem,  
ile który ma, z kim zdradza żonę,  
komu ją sprzedaje i ile za to bierze.  
Z kim się zadaje, kto się go boi, a kto  
pod nim dołki kopie. O której go-  
dzinie wczoraj wrócił do domu i co  
dziś będzie jadł na obiad...

Dérjac zaśmiał się dobrodusznie  
i szczerze, jak nie zdarzyło mu się  
już od niepamiętnych czasów. W tej  
chwili doznawał uczucia niepojętej,  
błogosławionej ulgi. Ktoś z niego  
zdjął wszystkie ciężary, których  
brzemień jakgdyby dopiero teraz  
zmierzył...

— Łobuzino, zawsześ był taki!

Miłą chwilę przerwał jakiś ro-  
sły, wyfrakowany drab w zaplamio-  
nym gorsie, bez krawata i w szyko-  
wnym paltocie, umurzanym na ple-  
cach i rekawach.

Jasne, podkrążone oczy patrzy-  
ły z podelba ponuro i nieprzytomnie.

— Gadał, baron, co tam potem  
było... Niech was wszyscy dyabli...  
Za co ja tobie trzy tysiące... Mia-  
łem przy sobie... Ile? Zaraz... Miały  
być historie extra... A co było? Zry-  
łem się... Nic nie wiem. Gadaj, co  
było potem. Choć opowiedz... Wody  
sodowej z amoniakiem, na miłosier-  
dzie boskie...

— No, dowidzenia, Dambriers...

— No...

— A pan tam też byłeś?

— Daj, książę, spokój i nie cze-  
piaj się ludzi. Idź spać.

— Naprzód opowiedz. Jak te  
kobiety?...

— Chciałbym cię jeszcze spy-  
tać?

— I ja.

— Słuchaj, kiedy już będziemy  
naprawdę starzy i dobijemy do por-  
tu...

— ...Spotkamy się gdzie w Ni-  
cei, w Monaco, we Francji, w Inter-  
laken... I wówczas pogadamy już  
po ludzku!

— Nie! Tu, w Paryżu, w Café  
de la Paix za... powiedzmy, za —  
no, za sześć lat. Zgodą?

— Zgodą. Piętnastego stycznia,

w samą południe. Wypowiadamy  
się ze wszystkiego.

— Nagadamy się.

— Będziesz już wolny o tej po-  
rze?

— Czas by było. Ej, stary,  
chciałoby się już odpocząć.

— A mnie!

Jeszcze raz uściśnieli się mocno  
na progu. Jeden poszedł na prawo,  
drugi na lewo i znikli w tłumie, któ-  
ry czarna, zmienna, ruchliwa masa  
zalewała ulice.

Pobudzony Paryż już zaczy-  
nał huczeć, jak potworny ul.

## XII.

Shurman pisał do syna:

— Tembardziej teraz, po śmier-  
ci biednej Jenny, nie wolno ci przy-  
być do Paryża. Wierzę, że możesz  
być ciekawy świata, a nawet nie po-  
winno być inaczej. Rozrywki są nie-  
zbędne przy pracy. Ale poczekasz  
jeszcze rok — dwa. Aż potrafisz  
oddzielić godziny zabawy od godzin  
życia. Paryż jest niebezpieczny, jak  
trucizna. To miasto — to najostrzej-  
sza choroba naszych ludzi. Mniej-  
sza o miliardy, które tutaj toną —  
pieniędzy jest na świecie dosyć. Ale  
tędy ludzie się marnują, wiotczeje  
młoda, zdobywcza rasa, kobiety na-  
sze giną. Iuż ludzi osiadło tu naza-  
wsze bez żadnej potrzeby, a ilu co-  
dzień, z każdym parowcem, wraca  
do domu zarażonych zniewieścią  
i schyłkową kulturą, niepodobnych  
do siebie.

Wierz ojcu, który na to patrzy.  
Nie potępiam zabawy ani nawet roz-  
pusty — ona też w człowieku moc-  
nym, a chwilowo znużonym, odświe-  
ża siły, daje zapomnienie, jak zdro-  
wy sen. Ale niepodobna przespać  
życia!

Synu! Pamiętaj zawsze, że twój  
ojciec nie jest księdzem, ani morali-  
stą. Chcę tylko, byś umiał dźwi-  
gnąć majątek i zadanie, które ci po-  
zostawię.

Nie oglądaj się naokoło siebie,  
jeżeli nie umiesz dostrzedz nędzy  
naszych ludzi. Nie mów mi — że ty-  
lu ich jest, a każdy jakoś żyje... Nie  
jest rzeczą łatwą być na świecie  
Shurmanem. A jeszcze trudniej bę-  
dzie tobie — jego synowi. Będziesz  
odemnie dziesięć razy bogatszy i,  
jak w matematycznym rachunku,  
czekają cię dziesięciokrotnie wię-  
ksze i o tyleż trudniejsze zadania.

Naucz się znosić swój ciężar,  
jak synowie starej dynastji noszą  
korony i dostojęństwo majątku. Ale  
ich dusza urabiała się przez stulecia,  
a twój dziad, mój ukochany ojciec,  
za młodu był prostym pilotem w del-  
cie Mississippi.

Jeszcze jedno, Harry. Dostrze-  
gam w tobie jakby ślad jakiejś nie-  
rozumnej oszczędności w drobni-  
zrach. Strzeż się choroby skąp-  
stwa. To też jedna ze znanych ma-  
nii... Pilnuj się! Bądź hojny! Nie  
żałuj sobie nigdy na nic. I tak ży-  
jemy obaj aż nadto skromnie...

Shurman nie spodziewał się tak szybkiego rozwiązania sprawy z Jenny.

Po pierwszym ostrzegającym telegramie w trzy tygodnie nadeszła wieść żałobna.

Kilku dni potrzebowała jego kamienna dusza na opanowanie siebie. Musiał uśmierzać niepokój i ból radości. Moment, o którym marzył przez długie lata, do którego odkładał najsmielsze i najtajniejsze swoje plany, choć był już spodziewany w tych czasach, uderzył weń jednak dziwnie mocno.

Należało rozpoczynać natychmiast, nie tracąc ani chwili, akcyę olbrzymią, obliczoną i uplanowaną od wielu lat.

Trzeba się było śpieszyć, zanim się zdoła i zdąży zmobilizować przeciwko niemu armia przeciwników, którzy już o tej porze, dowiedziawszy się o śmierci Jenny, zmagają się i zgadują gorączkowo, bezładnie, co zamierza Tom Shurman. Trzeba

się śpieszyć, bo za dwa lata nastąpi otwarcie kanału panamskiego.

Jednak Shurman nie rozpoczął działania. Zасыpywano go telegramami. Nachodzili go agenci i wysłańcy najpotężniejszych domów z rozmaitemi propozycjami, które były jeno pozorem i sposobem do odgadnięcia jego prawdziwych zamiarów. Na giełdach amerykańskich już szły w górę walory, które, jak przypuszczano, zakupi Shurman; inne bez winy i racyi spadały. Podniosły się do niebywałej wysokości akcyę przedsiębiorstw „Robert Shurman“. Było to jakgdyby hołdem, składanym przez świat finansów geniuszowi młodszego brata, ale Tom Shurman śmiał się z tego w głębi siebie z całym okrucieństwem. Albowiem postanowił oddawia wycofać się ze wszystkich przedsiębiorstw, założonych przez niecną klikę, która rzadziła majątkiem Jenny. Z rozkoszą widział krachy bankructwa, które się posypią, jak tylko postawi nogę na lądzie.

Wezwał tylko szefa porady prywatnej swego domu i, oczekując na jego przybycie, prowadził żywot samotny. Przez pół dnia chodził po swoim gabinecie, rozmyślając nad czemś głęboko. Wychodził na miasto i krążył po ulicach zamyślony, nie widząc nic wokoło siebie. Schylały mu się do stóp rozkosze, bezeceństwa, bogactwa i zaszczyty Paryża, ale on tego nie dostrzegał.

Nie zauważył również, że wszędzie, gdzie się tylko ruszył, postępował za nim cień, coraz to z ulicy na ulicę zmieniający swój ludzki pozór, inny każdego dnia i każdej godziny. Cień ocierał się o niego w tłoku bulwarów, oddalał się i prawie znikał w ustronnych dzielnicach. Był to młody elegant, stary robotnik, dama z córeczką, kobieta uliczna, żołnierz, handlarz starzyzny — byle kto.

Z za oceanu, z drugiej półkuli świata już dostrzeżono tajemnicze, samotne wycieczki Shurmana.

DCN.

## JÓZEF JEDLICZ. *W zimowy wieczór.*

### I.

*W zimnej łunie księżycy, co w oknie się jarzy,  
Staje niemo przedemną wiejska, krasa dziewa;  
W mroku widzę czarowne zarisy jej twarzy  
I jej ciała mnie ciepły, wonny czar owiewa.*

*Staje w świetle, figlarnie roześmiana, biała,  
W purpurowych koralach i w zielonej szacie,  
W której bujnie faluje śnieżny puch jej ciała,  
Niby obłok poranny w złotych zórz szkarłacie.*

*Jej śmiech w ciemnym pokoju letniem słońcem pruszy,  
Widmowy blask po ścianach wiedzie złote płasy;  
Gęźba rośnej zieleni wionie w sennej głuszy,  
Skrzą ogniste nogietki, płoną maków pasy.*

*Kraśną łaką wykwiła wonny pęk za pękiem  
I bursztynowych kłosów zaszumi wesele,  
Złote pszczoły na kwiaty siadają z pobrzękiem,  
Polatują wśród blasku aksamitne trzmięle.*

*W rubinowej wiklinie ptactwo się rozśpiewa,  
W dali las szmaragdowy z wiatrem zagra szumnie —  
A cudna, cała w kwieciu, złotooka dziewa  
Z promienistym chichotem pochyła się ku mnie.*

*Pije jej wzrok jarzący i pełen zachwytu,  
Czuje, jak mnie białemi ramiony oplecie —  
Jej twarz, jak słodka tkliwość letniego błękitu,  
Zbliża się ku mej twarzy, niby dziwne kwiecie...*

*Nagle ocknę się z marzeń... Wokół ciemność glucha,  
Świetna zjawia słoneczna w nicość się rozwiała;  
W okno siwą śnieżycą dzwoni zawierucha —  
Szczęście pierzchnę z mej izby, jakby dusza z ciała.*

### II.

*Mam ja ojczyznę, boży kraj świetlany,  
Gdzie duch umęczon czerpie ukojenie;  
Najgłębsze mroki i najkrwawsze rany  
Znajdą tam lek swój i złote promienie.*

*Tam gór widmowe, blade ametysty,  
Jak sen nadziemski, śniony przez doliny,  
Niosą się w niebo... Tam świt płomienisty  
Sypie opale, topazy, rubiny.*

*Tam dusza moja, jak słońce, wesola  
Zgoła nie dziwi się, że słońce wschodzi —  
Tam w świętej głuszy białego kościoła  
Co roku Chrystus nanowo się rodzi.*

*Przez drzew stuletnich ruchome kopuły  
Modrzeją niebios tęczowe pierścienie —  
Blaski się w polach, jak widma, rozsnuły  
I jedną luną złocieją kamienie.*

*Tam rzeka między zielonemi brzegi  
Błyska świetliście od chaszczu do chaszczu,  
Jak złota taśma, co świetnemi ścięgi  
Mieni się w faldach jedwabnego płaszczu.*

*Przez rośne pola, co w słońcu migocą,  
Kwiecista miedza gdzieś wiję się, wiję —  
Tam duch nie pyta się: naco i poco —  
Stoneczność życia chłonie z pól i żyje...*

*Nikt tam nie bada w żądzy nieposkromnej,  
Co znaczą w niebie jerzyków poświsty  
I szum zieleni i ten blask ogromny  
I wód spienionych taniec posuwisty...*

*Co znaczą wiklin barwiste krążganki,  
Na które blasków patyna się kładzie,  
Ten płas nad wodą siwej świtezianki,  
Te kwiaty, zółciejące w cichym sadzie...*

*Mam ja ojczyznę gdzieś za mroków morzem,  
Która — choć ziemską jest — jest wielkim cudem,  
Gdzie ziemia śpiewa kwiatami i zbożem,  
Święta mojego ludu krwawym trudem.*

*Stamtąd mych pieśni migotliwe zwrotki  
Wznoszą się w błękit, równe złotym schodom,  
Co wśród tych lśniń i barw i woni słodkiej  
W świat nadobłoczny i do nieba wiodą.*

Lwów

Radość tamowała mi oddech; wykrztusiłam jednak:

— Słyszałam o waszej wyprawie. Przeszedłeś ciężkie chwile.

— O! bynajmniej. Taka sobie wycieczka dla przyjemności pod osiemdziesiąty szósty stopień.

— Ale z powodzeniem olbrzymiem, prawda?

— I to także nie. Komendant najzacieńszy człowiek pod słońcem, a koledzy, jak złoto!

— Jakże się cieszę! Jakże się cieszę! — powtórzyłam znowu.

Przez całe dwie minuty czułam się bezgranicznie szczęśliwą; poczem ścierpłam nagle: przypomniałam sobie bowiem, że od czasu, kiedyśny się rozstali, wysłałam za męża i nie wiedziałam, jak mu to powiedzieć.

Ale właśnie w tej chwili Alma i mój mąż zjechali do hallu windą na śniadanie i, ujrzawszy mnie przez drzwi rozmawiającą z kimś obcym, weszli do gabinetu.

Musiłam więc dopełnić ceremonii wzajemnych przedstawień, co nie było dla mnie rzeczą łatwą. Mimo woli, gdy stali tak razem, porównywałam ich ze sobą: Jurka, jego męską, kwitnącą zdrowiem powierzchowność, i mego męża o wyniszczonej postawie i zapadłych policzkach, i w jakiś niepojęty sposób porównanie to upokorzyło mnie.

Alma, gdy jej przedstawiła Jurka, przytrzymała chwilę jego rękę w swojej, patrząc mu głęboko w oczy, jak to było jej zwyczajem z mężczyznami; zauważyłam jednak, iż to spojrzenie, tak działające na innych, na nim nie uczyniło najmniejszego wrażenia.

Po wymianie banalnych frazeologów, mąż mój zapytał, czy Jurek stoi w tym samym hotelu, i zaprosił go na obiad którego dnia.

— Jak najchętniej! Z jaknajwiększą przyjemnością w świecie — odpowiedział Jurek.

— Będzie pan miał sposobność nacieszyć się towarzystwem dawnej znajomej — dodał mój mąż sztywno.

— Tak. — rzekła Alma w jakiś znaczący sposób — będzie pan mógł nacieszyć się towarzystwem dawnej znajomej.

— Niech już panią o to głowa nie boli. Sam się o to postaram — odparł Jurek, patrząc jej prosto w oczy; i choć roześmiała się, przechodząc z moim mężem do sali jadalnej, zauważyłam, że ją to spojrzenie zmieszało.

— Wiedziałaś więc — rzekłam, gdy znikli oboje.

— Tak; kolega mój, przyjaciel, który cię poznał w podróży, czekał na nas w porcie, i on to...

— Doktor O'Sullivan?

— Tak, on właśnie. Dzielnym

chłopak, prawda? A jak się nad to ba rozplęwał. Ale teraz... teraz musisz zapewne iść na śniadanie, a ja pójdę za memi interesami.

— Nie odchodź jeszcze — rzekłam.

— Zostanę cały dzień, jeżeli sobie życzysz, ale obiecałem komendantowi być za półgodziny na statku, i...

— Więc jedź!

— Nie zaraz. Usiądź jeszcze. Pięć minut spóźnienia nie stanowi. Ale, gdy ci się przyglądam uważnie, widzę, że... pomimo włoskiego i egipskiego słońca, pobladłaś jakoś... Czyś nie zdrowa?

— Ależ nie, nie. Zdrowa jestem zupełnie.

Jurek zasepił się trochę; poczem zapytał:

— Jak długo tu zabawisz?

Odpowiedziałam, że nie wiem, na co on rzekł:

— Mnie tu zejdzie miesiąc; mam przygotować mapy, sprawozdania dla Królewskiego Geograficznego Towarzystwa, ale gdybym ci był na co potrzebny... może teraz jestem ci potrzebny?

— Nie... nie, nie teraz — odpowiedziałam.

— No, pamiętaj, gdybyś mnie kiedykolwiek, w czemkolwiek potrzebowała, daj mi tylko znać, a wszystkie mapy, sprawozdania i całe Królewskie Geograficzne Towarzystwo mogą sobie pójść do... no, mniejsza z tem.

Roześmiałam się i, wstawszy, rzekłam mu, że powinien już iść, choć w duszy pragnęłam, aby został, mówiąc sobie, jak opuszczoną i bezsilną jestem, a oto tu stoi taki dzielny, odważny mężczyzna, który mógłby mnie od wszelkiego niebezpieczeństwa obronić.

Odprowadziłam go do drzwi i długo trzymałam jego rękę w swojej dłoni z jakąś dzieciinną obawą, że gdy mu pozwolę odejść, zniknie tam w tym ludzkim oceanie nazewnątrż i nie zobaczę go już więcej.

Wreszcie przemogłam kurecz, chwytający mnie za gardło, i rzekłam:

— Jurku, nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwą, jak dziś, kiedy cię ujrzałam. Zobaczymy się znowu, prawda?

— Ma się rozumieć — odrzekł; a widząc, że usta mi drżą i oczy napęniają się łzami, dodał ellańskim dyalektem, żeby mnie rozśmieszyć:

— Posłuchaj, Mally. Zachowaj dla mnie dzień jutrzejszy, dobrze? Jeżeliby taciei (mój mąż i Alma) mieli dla ciebie inne plany, powiedz im, że towarzyszyć dzieciństwu zabiera cię z sobą „na eksplorację“. Cóż? Zgoda? Do jutra zatem!

Odszedł, a ja stałam jeszcze

chwilę, jakby odurzona. Wszystko to wydawało mi się jakimś dziwnie pięknym snem. Oprzytomniawszy po chwili, spostrzegłam, że trzymam wciąż w lewej dłoni zmięty w kulkę blankiet telegraficzny. Podarłam go i poszłam na śniadanie.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.

## Część czwarta.

### Moja miłość.

### Rozdział XLIII.

W ciągu tego pierwszego dnia w Londynie odwiedziło nas dużo osób, oczywiście wszystko znajomi mego męża, z panami Eastliff'em i Vivianem na czele.

Podeczas naszej półrocznej nieobecności w Anglii musiało się zdarzyć wiele rzeczy, ja jednak usłyszałam tylko o jednej, a mianowicie, że pan Eastliff zaślubił swoją baletniczkę, która porzuciła scenę i której publiczne występy ograniczały się teraz na powożeniu czwórką cudownie dobranych tarantów z kozła wspaniałego filbury swego męża.

Pan Eastliff zamierzał przedstawić nam nazajutrz tę kosztowną zabawkę, a że miał to być jednocześnie dzień Derby, więc wybierano się „całą paczką“ na wyścigi.

Oczywiście, do tej „paczki“ należeć miała Alma, która, jak wszędzie, tak i tu, wzbudzała ogólne zachwyty; o mnie jednak nie było mowy, co mnie bynajmniej nie martwiło, ze względu na obietnicę, daną Jurkowi.

Jakoż nazajutrz rano on sam wpadł do naszego saloniku, i jak święty morski powiew, z oznajmieniem, że oficerowie jego statku urządzają pożegnalne śniadanie w kajut-kompanii i komendant zaprasza mnie na te biesiadę.

Zauważyłam, iż wiadomość ta była widocznie bardzo na rękę memu mężowi i Almie, która odezwwała się swoim najśladszym głosem:

— Nie odmówisz chyba panu Maryjko? Taka wycieczka na świeżym powietrzu orzeźwi cię wybornie.

Oczywiście, że nie dałam się prosić i z bijącym sercem poszłam przebrać się, podczas, gdy oni utonęli całkiem w przygotowaniach do wyścigów.

Parowa łódź ze statku czekała na nas pod arkadą Westminsterkiego mostu, i z chwilą, gdy w nią wsiadłam, uczułam się jakby przeobrażoną.

Dzień był cudny, majowy; słońce ubrało rzekę w złotą łuskę, a łódź sunęła po niej szybko, mijając nadbrzeżną panoramę, i wprędce wydo stała się na otwartą przestrzeń z dalekim widokiem na morze, gdzie stał na kotwicy okręt Jurka.

Był to drewniany skuner<sup>\*)</sup>, na-

<sup>\*)</sup> Statek dwumasztowy (przyp. tłum.).

zwany *Scotia*, i gdy go zobaczyła, oczy moje napęłniły się łzami na myśl, że to on właśnie zawiózł Jurka w te nieznane światy i przywiózł bezpiecznie z powrotem.

— Wspaniały okręt, prawda? — rzekł Jurek.

— O, tak — odpowiedziałam, rozdrawiana do głębi duszy.

Płynąc przeciw silnemu prądowi, zmarudziliśmy dość długo w drodze i spóźniliśmy się o pół godziny na lunch, i oficerowie siedzieli już przy stole, lecz gdy łódź przybiła do burtu, zerwali się wszyscy i przyjęli mnie, jak królowę. I wtedy to po raz pierwszy poznałam różnicę pomiędzy grzecznością światowych próżniaków a obejściem ludzi czynu.

— Witamy! Witamy! — zaczęli wołać.

— Pani wybaczy? Myśleliśmy, że coś stanęło na przeszkodzie i pani nie przyjedzie wcale — rzekł komendant, poczem usadowił mnie przy stole na honorowym miejscu pomiędzy sobą a Jurkiem.

Dziwna rzecz, jak ja się tam odrazu uczułam, jakby w domu, i jak mnie to nic nie zakłopotowało, że byłam jedyną kobietą pomiędzy tylu mężczyznami!

Bo też było coś tak szczerego, serdecznego w tych smagłych, dzielnych twarzach, i tyle ciepła szło od tych sprężystych postaci, które garnęły się do mnie, jak do pierwiastku kobiecości, przypominającego im ukochane a tak dawno pożegnane istoty, że oto ja, uważana w kołach mego męża za tę, sztywną gąszczkę, ożywiłam się wprędce i gawędziłam wesoło, zasypując wszystkich pytaniami.

Oczywiście, niektóre z nich były bardzo niedorzeczne i pobudzały oficerów do śmiechu, ale mnie to nie zrażało, bo na tym statku śmieli się wszyscy, nawet majtkowie, obnoszący półniski, a zwłaszcza jeden, stary wilk morski, niewiadomo, dlaczego nazwany *Treacle* \*\*).

Ogromnie mi też było przyjemnie widzieć, jak wszyscy odwoływali się wciąż do Jurka, mówiąc: „Nieprawdaż, doktorze?“, lub: „A ty, co o tym myślisz, doktorze?“, choć jednocześnie wydawało mi się zabawnym i dziwnym, że Jurka (mego Jurka ze Szpitzbergu) nazywają doktorem.

Po lunchu komendant posłał *Treacle'a* do swojej kajuty po zbiorową fotografię całej załogi, zdjętą u stóp *Erebusa*, poczem proszono mnie, bym w tych brodatych, obatułonych, staro wyglądających ludziach rozpoznawała eleganckich, starannie wygolonych młodych oficerów, siedzących ze mną dokoła stołu.

Oczywiście, strzelałam bąk za bąkiem, a już najgorzej było, gdy wzięła *Treacle'a* za komendanta, na co ten ostatni aż się pokładał ze

śmiechu, a *Treacle* tak się trząsł, że rozlał kawę, którą właśnie obnosił.

— A ten czwarty, z lewej strony, w pierwszym rzędzie, kto to taki? Jak się pani zdaje? — zapytał komendant.

— O! tego poznałabym wszędzie! — odparłam.

— A po czym?

— Po oczach — rzekłam bez wahania, i po tej czysto irlandzkiej kobiecej odpowiedzi i zapanowała ogromna uciecha pomiędzy oficerami.

— A co, doktorze?! A co? — wołano ze wszystkich stron. — Z panią na nic wszelkie przebrania! Co?

— A tak — odpowiedział Jurek, który do tej chwili bardzo mało mówił, lecz wyglądał, jakby był w siódmym niebie.

Wreszcie nadszedł czas odjazdu dla oficerów; odprowadziłam ich do burtu, poczem na statku zostałam tylko ja z Jurkiem i paru ludzi z załogi.

Była to zatem odpowiednia chwila do poufnej rozmowy; ale tak łaknęłam tych paru godzin szczęścia, że nie chciałam ich psuć opowiadaniem moich zgrzyzot; to też, gdy Jurek zaproponował mi zwiedzenie statku, posłam ochotnie oglądać teodolity, chronometry, sekstany, i ołt-nicze przyrządy, i balon kotwiczny, i miejsce, gdzie trzymano sałetrę i bawełnę strzelniczą do rozsadzania lodów, i spiżarnię z zapasami dla ludzi w hermetycznych puszkach, i skład suszonych ryb i biszkoptów, stanowiących pożywienie psów syberyjskich, i puste klatki samych-że psów, które odesłano do zoologicznego ogrodu dla pielęgnacyi.

Na ostatku Jurek zaprowadził mnie do swojej kajuty, która mnie najbardziej zaciekała. Był to miłutki pokój (może niedość porządnie utrzymany), pełen lekarskich narzędzi i przyborów, książek, notatek, z wiszącą na ścianie dużą fotografią domku rodziców Jurka.

Dwie godziny minęły, jak tyleż minut, poczem chłopak okrętowy przyszedł poprosić nas na herbatę, a ja usadowiłam się na krześle komendanta z taką swobodą, jakgdyby statek należał do mnie. I nagle fala wspomnień dzieciństwa załała mi duszę, a że przy tem chciałam wyba-dać Jurka, czy i on wszystko, co się mnie tyczyło, pamięta, więc rzekłam:

— Założyłabym się, że byłbyś w kłopotcie, gdyby ci przyszło powiedzieć, kiedyśmy się po raz pierwszy widzieli?

Ale on, bynajmniej, nie był w kłopotcie i zaraz poczęliśmy przypominać sobie wszystko: i nasze rozmowy, i Tommy Majtko, i naszą wyprawę do skały Panny *Marvi*, która się tak niefortunnie skończyła, przyczem śmieliśmy się ciągle aż do łoża.

Jurek ani słowem nie napomknął o moim małżeństwie i swoich listach do mego ojca, biskupa i Ojca

Dana, które się tak straszliwie prawdziwymi okazały; tylko gdyśmy się pochylili społem nad wielką mapą, na której oznaczoną była droga, jaką odbył ich statek, dając ku nieznanym regionom, a głowy nasze prawie stykały się ze sobą, on rzekł nagle:

— Wydałaś mi się jakoś nie w swoim sosie wczoraj; dlaczego tak?

— Och... nie... pomówimy o tem innym razem — odpowiedziałam i zaśmieliśmy się znowu, niewiadomo, czemu; może dlatego, iż czuliśmy, że stoimy jakby na progu naszych zamkniętych sere.

Och! jaki to był cudny, radosny, niezapomniany dzień! Ale minął szybko, jak żaden. O wpół do siódmej Jurek dał znak do odwrotu, mówiąc, że mogłabym spóźnić się na obiad, i wsiedliśmy do łodzi, która wróciła po nas.

Byłam tak wdzięczną statkowi za ten szczęśliwy czas, jaki na nim spędziłam, że posłałam mu ręką pocałunek, co *Treacle*, stojący na donecie, wziął do siebie i odwzajemnił mi się w podobny sposób, a my po raz ostatni wybuchnęliśmy niepoznaczonym śmiechem.

Ale i powrót był na swój sposób zachwycającym. W płomiennem oświetleniu zachodzącej łuny wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Przez całą drogę Jurek mówił mi o swoich planach na przyszłość. Marzeniem jego było wrócić znów pod biegun i tam zamieszkać obmyślona przez niego stację ostrzegawczą czy coś w tym rodzaju, która by odwracała różne niebezpieczeństwa statkom na morzu grożące: ja zaś, słuchając, zapatrzona w jego błękitne oczy, błękitniejsze, niż najczystsze niebo, powtarzałam raz po raz:

— Ależ to wspaniałe! To nadzwyczajne! Jakim to będzie dobrodzieństwem dla ludzkości!

— Prawda? — podchwytował Jurek z oczyma błyszczącymi chłopcicą niemal radością.

I tak czas mijał niepostrzeżenie, aż znaleźliśmy się znów pod arkadą westminsterskiego mostu, a ja wtedy dopiero przypomniałam sobie, że nie napomknęłam ani słowem o tych poważnych, smutnych rzeczach, o których było moim zamiarem pogadać z Jurkiem.

Ale i cały Londyn wyglądał dnia tego świątecznie, bo, gdyśmy jechali przez ulicę Parlamentu, szereg po-wozów, wracających z Derby, płynęły jeden za drugim, jak fale, a w nich siedziały postrojone, uśmiechnięte kobiety, rozmawiając wesoło ze swymi towarzyszami.

Nasz cab zatrzymał się przed hotelem prawie równocześnie ze wspaniałym mail'em, z którego wysiadła „paczka“ pana *Eastliffa* z moim mężem i *Almą* na czele. *Alma* natychmiast podbiegła do mnie, unosząc się nad moim świetnym wyglądem.

— Czy nie powiedziałam, naj-

\*\* ) *Treacle*, znaczy: dryakiew (przyp. tłum.).

droższa, że świeże powietrze rzeki doskonale ci zrobi! — zawołała, dodając coś napozór bardzo czułego ale w gruncie żądliwego, że nie tak nie upiększa kobiety, jak szczęście.

Zaraz też była mowa o wspólnym obiedzie, ale ja wymówiłam się i pożegnawszy Jurka, który mi zlekka uściśnął rękę, pobiegłam na górę do mego pokoju, nie czekając na windę, tak mi było spieszo pozostać sama i wszystkie chwile tego rozkosznego dnia po raz drugi we wspomnieniach przeżywać.

Moja pokojówka przyniosła mi obiad, opowiadając o wspaniałej biesiadzie, jaka się na dole odbywała, ale ja, polknawszy trochę jedzenia, poszłam zaraz do łóżka, aby się jej pozbyć copędzej.

Nie mogłam jednak usnąć bardzo długo i gdy wreszcie zdrzemnęłam się trochę, moje senne marzenia były jakby przedłużeniem tej, do czarodziejskiego snu podobnej rzeczywistości, którą tylko co danem mi było przeżyć.

Gdy o tem myśle, pojąć nie mogę, jakim sposobem do owej chwili jeszcze nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, mając tylko świadomość jakiejś olbrzymiej fali szczęścia, zalewającej mi duszę.

A jeszcze dziwniejszym wydaje mi się, że ja, która od miesięcy całych łaknęłam miłości, nie znajdując jej, nie poznałam jej natychmiast, gdy mi się sama zjawiła.

Ale gdy wczesnym rankiem zbudziłam się w sypialni całej zaróżwionej jutrzemka, i gdy pierwsza moja myślą było wspomnienie Jurka, wówczas, jakby zasłona spadła mi z oczu i pojęłam, że to, co zdawna przeznaczonem mi było, stało się, i że ta radosna tajemnica, to wielkie objawienie, to szczęście bezmierne, które spotyka każdą prawie młodość na świecie, i mnie nareszcie spotkało.

Kochałam.

Kochałam Jurka Conrada.

### Rozdział XLIII.

Radość moja była krótkotrwała. Zaledwie uświadomiłam sobie, że kocham Jurka Conrada, gdy wnet sumienie powiedziało mi, że nie mam do tego prawa. Byłam zamężną, i kochać innego mężczyznę, nie swego męża, było grzechem.

Nie umiem wypowiedzieć, jaką zgrozą przejęła mnie ta myśl. Zgasiła wnet wszelkie światło na mojem niebie, które przed chwilą wydawało mi się tak jasne. Spadła na mnie, jak nawałnica z grzmotami i piorunami i straciła moje szczęście w otchłani.

Cała moja religijność, wszystko, czego mnie uczono o świętości sakramentu małżeństwa, powstało przeciwko mnie, jak tyleż oskarżycielskich głosów. Nie poczuwałam się do winy wobec mego męża, o! bynajmniej; myślałam tylko o mojej winie wobec Boga.

I oto zrozumiałam natychmiast,

że nie będę już mogła mówić z Jurkiem o moim mężu i Almie, bo uczyniło to teraz, gdy wiedziałam, że go kocham, wydawało mi się czemś niskiem i nieuczciwem.

Pojęłam także, iż muszę się wyrzec myśli o separacji z moim mężem. Jakże mogłam oskarżać go skoro sama znajdowałam się w tem położeniu? Jeżeli on kochał inną, ja kochałam innego.

Jedynem wybrnięciem z tak zagmatwanej sytuacji było według mnie, zwalczyć moją miłość.

W tym celu postanowiłam unikać Jurka i przez parę dni, gdy przechodził odwiedzić mnie, wymawiałam się od przyjęcia go pod blahemi i częstokroć bardzo mało znacznymi pozorami.

Serce mi się krwawiło, ale myślę, że byłabym zniosła mężnie moje cierpienia, gdybym się nie przekonała, że i jemu równocześnie ból zadaje.

Price, która nabiła sobie głowę Jurkiem, nie dawała mi pokoju.

— Biedny ten młody pan — mówiła, gdy posyłałam ja, aby go odnawiała. — Znowu się tak zmartwi! Kiedy mu powiedziałam ostatnim razem, że mylady chora, wyglądał, jakby go kto nożem pchnął.

Wszyscy jakby się sprzyięgli, żeby mnie popychać w objęcia Jurka, a w pierwszej linii Alma. Odgadła wnet moją tajemnicę i jasnem było, że pragnęła usprawiedliwić swój stosunek z moim mężem, doprowadzając do tego samego pomiędzy mną i Jurkiem.

— Widziałas dziś pana Conrada? — nytała.

— Nie — odpowiedziałam.

— Czy być może! Taki dawny przyjaciel. I w dodatku mieszkając z nim w jednym hotelu.

Przekonawszy się, że staram się zwalczyć pokusę, przypomniała memu mężowi jego zamiar poproszenia Jurka na obiad i tak się też stało.

Co do mnie, byłam uszczęśliwiona, że go zobacze poniekąd mimowolnie i w towarzystwie, ale gdyśmy się znaleźli wszyscy przy stole, kontrast pomiędzy nim a moim mężem i jego przyjaciółmi i ta różnica atmosfery, w jakiej on żył, a na jaką ja byłam nazawsze skazana, tak rażąco rzuciła mi się w oczy, iż myślałam, że się zadławię bólem i upokorzeniem.

Ale i oni musieli to rozumieć, bo choć rozmowa toczyła się poważnie o koniach, psach i wyścigach, milki powszechnie, gdy Jurek na swój prosty, poetyczny sposób (wszyscy eksploratorowie są poetami) mówił o urokach polarnych nocy, o ich bezbrzeżnej ciszy i o czarodziejskich efektach księżycowego światła, ślizgającego się po lodowcach.

— Dziwię się, że pan nie wraca pod biegun, skoro tam tak pięknie — zauważyła Alma.

— To też wróce, ani chybi — odparł Jurek i zaczął opowiadać o swoim wielkiem przedsięwzięciu, o jakim opowiadał mi na łodzi, ale jeszcze obszerniej i z jeszcze większem uniesieniem.

Od setek lat człowiek, pchany jedynie żądzą przygód lub ambicji, torował sobie drogę wskroś niezwalczonych polarnych regionów, lecz teraz nadszedł czas spożytkować te zdobycze.

— A to w jaki sposób? — zapytał mój mąż.

— W taki — odpowiedział Jurek — by móżdż na jakieś sześć, osiem, dziesięć dni naprzód przepowiedzieć pogodę na znacznej przestrzeni lądowej i morskiej, a to przez zakładanie stacyi telegrafu bez drutu możliwej najbliżej Bieguna, skąd ruszają lodowce i nawałnice śnieżne, dzięki czemu w ciągu dziesięciu minut ze skłonów Erebusa możnaby rzec połowie południowej półkuli: „Strzeżcie się. Już idzie“ i tym sposobem ocalić miliony egzystencyi ludzkich od rozbięcia i setki milionów pieniędzy od zraty.

— Wspaniały pomysł, na Jowisza! — rzekł pan Eastcliff.

— Tak, to warte fatygi — dorzucił pan Vivian.

— Mrzonka! — mruknął mój mąż, ale dopiero po odejściu Jurka, zaś Alma, widząc, że promienieją całą, rzekła:

— Zachwycający człowiek. Dziwię ci się, najdroższa Maryjko, że go tak rzadko widzisz. Wkrótce pojedzie znów na koniec świata, a wtedy będzie ci przykro, że nie korzystałaś ze sposobności.

Te słowa zabrały mnie, jak ukłócie osy, lecz odniosły skutek, i gdy w parę dni potem Jurek przyszedł zabrać mnie do Towarzystwa Geograficznego, gdzie jego komendant miał czytać sprawozdanie z wyprawy, nie mogłam się zdobyć na odmowę i poszłam.

Och! jaki to był inny, inny świat, niż ten, w którym żyłam od pół roku. Wszystko, co Anglia posiadała najwybitniejszego w zakresie wiedzy i czynu, zgromadziło się tu głowa przy głowie: mężczyźni - działacze, popychający świat naprzód, i kobiety, ich żony i współpracownice

Siedziałam wraz z Jurkiem w krzesłach nawprost estrady i komendanta.

DCN.

